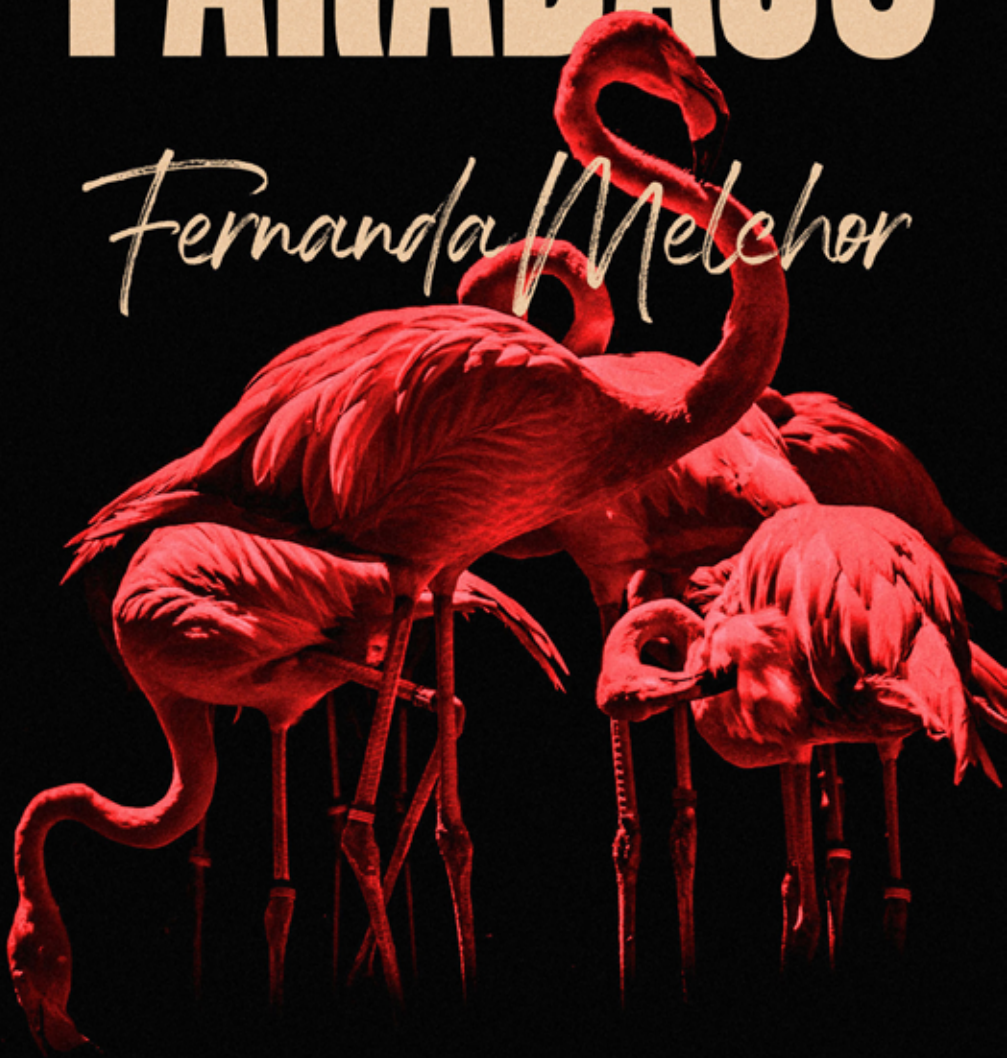


PARADAJJS

Fernanda Melchor



PRZEŁOŻYŁA KATARZYNA SOSNOWSKA

MO
VA

PARADAJŚ

Fernanda Melchor

Z HISZPAŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
Katarzyna Sosnowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Paradais

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcie na okładce: © Marko Blažević / Unsplash.com

DTP: Maciej Grycz

Autorka jest wdzięczna programowi Jóvenes Creadores del Fonca oraz Sistema Nacional de Creadores de Arte za wsparcie otrzymane podczas pisania tej książki.

Copyright © Fernanda Melchor 2021, published in arrangement with Michael Gaeb Literary Agency, Berlin

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiecte Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Sosnowska, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-173-2

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



To wszystko wina grubasa, to chciałem wam powiedzieć. To wszystko wina Franca Andradego i jego obsesji na punkcie pani Marián. Polo jedynie był mu posłuszny, wykonywał jego rozkazy. Grubas zupełnie oszalał na punkcie tamtej kobiety i Polo był świadkiem, jak chłopak od tygodni nie mówi o niczym innym, tylko o tym, jak ją będzie pieprzył, jak zrobi z niej swoją kobietę, nieważne, w jaki sposób; ciągle ta sama śpiewka, niczym zdarta płyta, zatracony wzrok i oczy podbiegłe alkoholem, palce uwalane okruchami sera, bo ten wieprz nie oblizywał ich, zanim nie skończył paczki chipsów w rozmiarze XL. Tak ją wypierdołę, mamrotał Franco, chwiejnie podchodząc na sam kraniec pomostu; tak ją będę brał, a potem jeszcze na pieska, mówił i wycierał wierzchem dłoni ślinę, uśmiechając się od ucha do ucha i pokazując te swoje olbrzymie zębi-ska – białe i prościutkie jak prosto z reklamy pasty. Zaciśkał złośliwie szczęki, jego galaretowate ciało trzęsło się w prostackim naśladowaniu stosunku seksualnego,

a Polo odwracał wzrok, śmiejąc się wymuszenie i wykorzystując to, że grubas nie zwracał na niego uwagi, żeby podebrać mu butelkę, zapalić kolejnego papierosa i mocno wydmuchać dym ku górze, odstraszać odważne komary z namorzyn. To tylko przechwałki grubasa, myślał Polo, to tylko takie gadanie, nic więcej, durnoty podgrzane alko; przynajmniej tak sądził na początku, w trakcie pierwszych wspólnych pijaństw odbywających się w najciemniejszej części małego drewnianego pomostu biegnącego równoległe do rzeki. Nie docierały tam światła z tarasu, a cień rzucany przez gałęzie figowca chronił ich przed wzrokiem nocnego stróża i mieszkańców osiedla, zwłaszcza dziadków Franca, którzy, jak mawiał wnuk, dostaliby zawału, gdyby przyłapali dziecko na picciu alkoholu i paleniu papierosów, i Bóg wie na jakich jeszcze świństwach, a co najgorsze, w towarzystwie jednego z obsługi – takim mianem ten kretyń Urquiza określał pracowników osiedla – prostego ogrodnika, ni mniej, ni więcej. To byłby dopiero skandal, Polo drogo zapłaciłby za to, że zawiódł ich zaufanie, co w gruncie rzeczy niezbyt go martwiło, bo z radością porzuciłby to przeklęte osiedle i nigdy więcej tam nie wrócił; najgorzej, że prędzej czy później musiałby stać się w domu i odbyć kłótnię z matką. Chociaż skręcało go na samą myśl o kolejnej awanturze – a może po prostu oblatywał go strach – Polo nie był w stanie

zrezygnować z tych spotkań. Nie potrafił odmówić, gdy wieprzowaty chłopak dawał mu znaki przez okno; nie chciał odpuścić okazji do upicia się na pomoście, nawet jeśli idiota, z którym to robił, nic go nie obchodził, nawet jeśli miał już po dziurki w nosie ciągle tych samych świńskich fantazji i wiecznej obsesji na punkcie sąsiadki, w której grubas zakochał się beznadziejnie od pierwszego wejrzenia. Wydarzyło się to tamtego popołudnia pod koniec maja, gdy rodzina Maroño przybyła na osiedle Paradajs po odbiór kluczy do swojego nowego domu, a pani Maroño osobiście kierowała swoim grand cherokee.

Polo dobrze pamiętał tamten dzień. Rozbawił go widok kierującej samochodem kobiety i jej męża zesłanego na siedzenie obok – taką scenę zobaczył, gdy boczna szyba opadła z lekkim sykiem, a podmuch zimnego powietrza uderzył go w spoconą twarz. Kobieta nosiła ciemne okulary, całkowicie zakrywające jej oczy – Polo widział w nich swoje odbicie, gdy tamta wyjaśniała mu, kim są i co tu robią. Usta miała pomalowane na skandaliczną czerwień, jej obnażone przedramiona zdobiły posrebrzane bransoletki, które brzęczały niczym dzwonki poruszane przez wiatr. Polo wreszcie podniósł szlaban, a kobieta pomachała mu dłonią w podziękowaniu. Pani X, jak wiele innych, jedna z tych, które nigdy nie robiły na nim wrażenia. Identyczna jak pozostałe

damulki, które zamieszkiwały na tym osiedlu białe rezydencje z ceramicznymi dachówkami. Zawsze nosiły ciemne okulary, zawsze pachniały świeżością i rzeźkością, gdy siedziały za przyciemnionymi szybami swoich wielkich SUV-ów, miały wyprostowane i pofarbowane włosy, nieskazitelnie zrobione paznokcie, ale w sumie nie było w nich nic wyjątkowo, jeśli przypatrzeć im się z bliska. Nie mogły być źródłem szaleństwa, w jakie popadł ten pieprzony grubas, naprawdę nic z tych rzeczy. Z całą pewnością wszyscy znali ją z prasy; jej sławny małżonek miał program w telewizji, cała czwórka co chwila pojawiała się w gazetach plotkarskich: on łysy, krępy, zawsze w garniturze i koszuli z długim rękawem, nawet gdy panował przeklęty upał, ona przyciągała uwagę mięsistymi wargami i błyszczącymi oczami, które wydawały się śmiać bezgłośnie – nie tyle wyzywająco, co swawolnie, gdy unosiła brwi w grymasie kokieteryjnego porozumienia. W butach na platformie była wyższa od męża, rękę opierała na biodrze, włosy do ramion nosiła rozpuszczone, a jej szyję zdobiło mnóstwo szykownych naszyjników. To słowo najlepiej ją opisywało: była nie tyle ładna, co szykowna, zwracała na siebie uwagę, tak jakby stworzono ją tylko po to, żeby inni pożerali wzrokiem jej wypracowane na siłowni kształty, odsłonięte uda w spódnicy z surowego jedwabiu lub szortach z białego lnu, które tworzyły kontrast z lekko

opalonym blaskiem jej skóry. Miała godny uwagi tyłek, bez szalu, ale akceptowalny, dzięki luksusowym kremom i szmatkom niezdradzający wieku, zmarszczek i spustoszenia dokonanego przez urodzenie dwójki dzieci – starszy syn był już całkiem duży. Jej kaczy chód, który w pełni kontrolowała, wyróżniał ją z daleka w każdej sytuacji – nieważne, czy szła na obcasach, w sandałach, czy boso po trawniku. Sprawiał, że pól osiedla oglądało się za nią, gdy przechodziła. Dokładnie tak, jak tego chciała, czyż nie? Chciała, żeby patrzyli na nią pożądliwie i lubieżnie, żeby poświęcali jej swoje rozpustne myśli. Widać było, że ona to uwielbia, tak samo jak ten jej łysulec; zawsze gdy Polo widział ich razem, facet trzymał na niej łapę: a to chwycił ją w pasie, a to klepał w okolicy krzyża, a to macał po pupie z dumą samca zaznaczającego swoje terytorium i pyszniącego się własnym bydłem, a ona tylko się uśmiechała, szczęśliwa z powodu całego tego uwielbienia. Dlatego Polo się pilnował, żeby na nią nie patrzeć, celowo poskramiał instynktowny skręt szyi, prawie mechaniczny, który sprawiał, że odwracał głowę, by śledzić trajektorię jej kołyszących się pośladków, radośnie obnoszonych po uliczkach osiedla. Nie chciał, żeby ktokolwiek – ani ta damula, ani jej mąż, ani ich dzieci, ani ten kretyn Urquiza, ale przede wszystkim ona, ta pieprzona baba – odkrył, że się na nią gapi, obmacuje ją przymkniętymi

oczami, z otwartymi ustami i zwisającą z nich strużką śliny, jak robił ten idiota grubas za każdym razem, gdy dostrzegł ją z daleka. To było tak oczywiste, że oszalał na jej punkcie; nie był w stanie tego ukrywać i nawet Polo to widział, chociaż gdy pod koniec maja rodzina Maroño wprowadziła się do domu numer siedem, Polo jeszcze nie włączył się z Frankiem Andradem, jeszcze nie zapowiedziano imprezy dla rozpuszczonego bachora Micky'ego, więc nie miał okazji zamienić z grubym chłopakiem nawet pół zdania. Ale nie dało się nie zauważyć zachowania grubasa, który snuł się leniwie po wyłożonych brukiem uliczkach Paradajsu, z tym swoim wypiętym brzuszyskiem, różową twarzą upstrzoną ropiejącymi pryszczami i blond loczkami, które sprawiały, że wyglądał śmiesznie, trochę jak spasiony cherubin – mamałygowaty nastolatek o pozbawionych wyrazu oczach, ożywiających się jedynie, gdy paradowała przed nimi pani Maroño. Od kiedy ta rodzina wprowadziła się na osiedle, nie przestawał jej szpiegować. Trzeba było być ślepym albo zwyczajnym idiotą, żeby nie zauważyć desperackich prób zbliżenia się nieszczęsnego wieprza do obiektu jego westchnień. Za każdym razem, gdy kobieta wychodziła do ogrodu, żeby pobawić się z synami, ubrana jedynie w lycrowe szorty i sportowy stanik, które zawsze przyklejały się do jej ciała podczas wypełnionych śmiechem bitew na strumieniu wody ze

szlauchu, tłusty blondas wypadł biegiem ze swojego domu i udawał, że myje samochód dziadków. Tak naprawdę nie znośił tego robić, ale w tych okolicznościach nie trzeba było nawet na niego wrzeszczeć, jak kiedyś, ani grozić szlabanem na komputer albo telefon. I co za przypadek, że za każdym razem, gdy sąsiadka schodziła na taras przy osiedlowym basenie, żeby się poopalać, ten sam nastoletni mastodont zjawiał się tam trzy minuty później, owinięty w majtki, które ledwie go zakrywały, i w koszulkę przypominającą rozmiarami namiot, którą starał się zasłonić ten zwal bezkształtnej masy, jakim był jego brzuch. Zakładał ciemne okulary, żeby ukryć obsesyjne spojrzenie wbite w nakremowane ciało kobiety leżącej dwa leżaki dalej, zupełnie nieświadomej mokrych westchnień wieprza i powtarzających się gestów, którymi ten pajac próbował upchnąć swoją parówkę tak, żeby nie było widać, że mu zeszywniała. Ale najbardziej żalosne były nieustanne próby nawiązania przyjaźni z dwójką bachorów: piskliwym Andresem i rozpieszczonym mazgajem Miguelem, wśród sąsiadów znanymi lepiej jako Andy i Micky, bo tak w ataku absurdalnego bezguścia nazywali ich rodzice; Bóg jeden wie po co, nie mieli przecież nic wspólnego z żadnymi gringo, to była zwykła poza i zadzieranie nochała. A najśmieszniejsze było to, jak grubas wołał za nimi podczas zabaw w parku, dysząc jak bawół w pogoni za

piłką, którą Andy zabierał mu spod nóg, albo płożył się służalczo wobec kaprysów Micky'ego, jedynie po to, żeby zdobyć zaproszenie na podwieczorek i w ten sposób cieszyć się choć przez moment bliskością kobiety ze swoich snów, królowej i bohaterki najbardziej sprośnych fantazji seksualnych, pani lepkich potoków, które ten służalczy pochlebca wyciskał z siebie każdej nocy, a czasami jeszcze o świcie, myśląc o niej, o jej podniecających ustach, okrągłym tyłku, bujnym biuście, niezdolny zasnąć z powodu niepokoju, jaki wywoływała w nim ta kobieta, gorączki, jaka opanowała go, gdy po raz pierwszy ujrzał ją wysiadającą z białego SUV-a, buzowania przypominającego mu bąbelki szampana, którym dziadkowie celebrowali nadejście nowego roku, a który on wysiorbywał po kryjomu, gdy się już wstawili. To buzowanie zmieniało się w przygnębienie i pustkę, rów tektoniczny, który otwierał mu się nagle w duszy każdego popołudnia, gdy musiał opuścić dom sąsiadów, ponieważ pan Maroño wrócił z pracy, dzieciaki miały iść się wykapać i dokończyć prace domowe, a pani Marián prosiła go swoim najśłodszym, najcieplejszym głosem, żeby już sobie poszedł, bo jest późno i na pewno dziadunio i babunia zastanawiają się, gdzie się podziewa. Klepała go radośnie po plecach, z uśmiechem odprowadzała do drzwi, a grubasowi nie pozostawało nic innego, jak wrócić do domu z podwiniętym ogonem

i wonią damy w nozdrzach – wedle niego była to mieszanka Caroliny Herrery, papierosów mentolowych i lekko kwaskowatego zapaszku kropli potu na dekolcie. Próbował bezskutecznie wypełnić tę rosnącą pustkę, oglądając reality shows i nieprzyzwoite programy rozrywkowe, których nie aprobowali dziadkowie, do tego dorzucał sterty herbatników i ciasteczek z supermarketu oraz ogromne miski płatków z mlekiem, a na koniec wbiegał po schodach i zamykał się w swoim klimatyzowanym pokoju, gdzie mógł swobodnie pierdzieć i oglądać porno na nowym laptopie – prezent od dziadków na ostatnie urodziny – z pamięcią prawie całkowicie zapełnioną naściąganyymi z internetu lubieżnymi wideo, obrazkami cycków, cipek i dup, które już wówczas zaczynały go nudzić, ale i tak nadal je oglądał, całymi godzinami, po prostu z przyzwyczajenia. Co więcej mógł zrobić, żeby uspokoić ten desperacki ogień, który spalał go od wewnątrz?

Coś dziwnego działo się z tym ohydny grubasem, od kiedy w jego życiu pojawiła się pani Marián. Porno wydawało mu się teraz gównem, groteskowym oszustwem: te rozkraczone babki z wypiętymi tyłkami, w które ładowali je kolesie – wszystkie były jakieś plastikowe i zblazowane, co za rozczarowanie i bezsens. Na przykład ta Mulateczka o krótkich włosach, która miesiącami rozpalala Franca ogniem ocierającym się

o idolatrię, bo sugerowała, że ma skłonność do dziewiczych nastolatków, teraz wydawała mu się pierwszą lepszą dziwką wyciągniętą z zadragowanego kurwidółka, już na wstępie zbyt młodą, by mogła stać się przekonującą osobą wprowadzającą go w arkana seksu, w dodatku zupełnie pozbawioną wdzięku i klasy, jakimi pani Marián emanowała nawet podczas wykonywania najbardziej banalnych czynności: wystarczyło tylko zobaczyć, jak rozmawia przez telefon z przyjaciółką, jak opiera się o kuchenny blat, jak w wyprostowanych palcach trzyma papierosa, gdy wierzch jej nagiej stopy gładzi gładką, gładziutką powierzchnię kształtnej łydki drugiej nogi. Nie miała nic wspólnego z obłudnicami, jakich do tej pory Franco pożądał z wściekłą pasją dorastającego chłopaka. Jak tamta laska, pierwsza z długiej listy aktorek porno, którymi grubas był obsesyjnie zainteresowany od momentu, gdy skończył jedenaście lat, a dziadkowie zainstalowali w domu internet: dojrzała blondyneczka o błękitnych oczach, która krzyczała i śmiała się, a jej wielkie zaróżowione cycki skakały, gdy banda oprychów ładowała w nią jednocześnie. Ileż maniackich samogwałtów poświęcił Franco tej dziwce, tej samej, która teraz, gdy wracał do tamtych najstarszych na swoim komputerze filmów, wydawała mu się obrzydliwą, wstrętną, szkapowatą wiedźmą o popsutych zębach i pozbawionej kolorytu skórze pociętej zielonymi żyłami jak u jakiejś

jaszczurki! Nie miała nic wspólnego ze złocistą cerą pani Marián, opalającej się na brzuchu obok basenu, z rozpiętą górą od kostiumu, żeby nie zostały po nim ślady na jej boskich plecach, z tym sterczącym tyłeczkiem, triumfalnie umieszczonym na wysokości wzroku Franca, tak prawdziwym i tak bliskim, że wystarczyłoby podплыnąć do brzegu niecki i wyciągnąć rękę, żeby sprawdzić gładkość tej dojrzałej brzozki: idealna dupcia, która spychała w nicość wszelkie tyłki tego świata i która pewnego dnia, nie wiadomo jeszcze w jaki sposób, nie wiadomo kiedy i w jakich okolicznościach, będzie należała do niego, tylko do niego, to on położy na niej rękę, ściśnie ją, chwyci zębami i przejedzie po niej językiem, bez litości, aż babka zacznie płakać z zachwytu i przerażenia, powtarzać jego imię, och, Franco, a pasek majtek wżynać się będzie tak głęboko, och, Franco, będzie go błagać, żeby robił to mocniej, Franco, mocniej, tatuśku, dojdzie wiele razy, a on sam obleje ją strumieniem gorącego nasienia, żeby zaraz ponownie ją ładować, całą noc bez odpoczynku, jak to robił w swoim skrzywionym umyśle, i cały dzień również, w każdej możliwej chwili, gdy dziadkowie poszli do klubu w weekend i grubas zamykał się w swoim pokoju – nikt mu nie przeszkadzał, gdy oglądał swoje porno na słuchawkach i uzupełniał zużyte od odtwarzania filmy scenami z własnego życia, nakładając twarz pani Marián na wulgarne rysy

nagich lasek, z rozgrzanym kutasem w rękę, spodniami opuszczonymi do kostek, co chwila szeptaając jej imię, wzywając ją pachwinami, z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi zębami, przebywając odległość, jaka ich dzieliła, niczym duch, który nagle odłącza się od wielkiej kupy tłuszczu na łóżku i lekko płynie w powietrzu, opuszcza pokój przez okno i przenika ściany sąsiedniego domu, szuka jej wszędzie, aż wreszcie ją dopada. Ona siedzi akurat w salonie z mężem i dziećmi, na jednej kanapie; wciśnięci w poduchy synowie rozdzielają rodziców, głowa młodszego oparta o cudowne cycki kobiety, częściowo wychodzące spod lekkiej koszulki; usta sennego dzieciaka blisko ciemnego sutka przebijającego się przez materiał – guzik delikatnego mięsa, który twardnieje, gdy Franco dotyka go swoimi niewidzialnymi dłońmi, początkowo nieśmiało, potem gwałtowniej, słyszy, jak ona wzdycha i poprawia się na kanapie, podniecona tym macaniem, łaskotaniem, które nagle staje się silniejsze, wilgotniejsze, bo ektoplazmiczne usta ssą i gryzą zachłannie, i wtedy wyrywa jej się krzyk. Co się stało?, zastanawia się kobieta. Dlaczego nagle jest taka mokra? Dlaczego czuje bicie serca od nieznannej przyjemności, skoro zwyczajnie siedzi w salonie własnego domu i ogląda z mężem i dziećmi teleturniej? Czym, u diabła, była ta niecierpliwa siła, która zmuszała ją, by rozchyliła uda, która wchodziła w nią ze słodką mocą i sprawiała, że jej

dłonie się zaciskały, a ciało wyginało, by wreszcie wybuchnąć w zduszonym orgazmie na oczach zaniepokojonych i zadziwionych członków rodziny? Kutas Franca pulsował, a z jego czubka wypływała strużka mleka, mocząc zdrętwiałe palce. Nagle nie były one ciasną cipką pani Marián ani jej ściśniętym tyłkiem, lecz po prostu palcami grubasa, uwalanymi gęstym klejem i serkiem, niecierpliwymi palcami, które już po chwili pięły się po pachwinach i wracały do kompulsywnego trzepania: tym razem wyobrażał sobie, że jest z sąsiadką sam na sam, w sypialni małżeńskiej państwa Maroño – ona siedzi na brzegu łóżka, Franco stoi z rękami w kieszeniach i pochyloną głową, bo właśnie odważył się wyjawić jej swój sekret: niepokój, napięcie, jakie odczuwa, wstyd z powodu tego wyznania, uczucie, że umrze, jeśli natychmiast nie zaspokoi swoich pragnień. Tymczasem pani Marián kiwa głową, słodka i zgodna, wyciąga swoją zgrabną dłoń, żeby dotknąć przez materiał jego penisa. Nie ma się czym martwić, mówi, pocierając sterczący narząd, który deformuje jego spodnie. Oczywiście ona rozumie cierpienie Franca: jego zwierzę, niezwykle wielkie i twarde, należy regularnie zaspokajać, tłumaczy pocuczającym głosikiem, tym samym, którym łagodzi ataki hysterii dzieci. Dobrze zrobił, że jej o tym powiedział; ona pomoże mu, ilekroć on ją o to poprosi. I swoimi delikatnymi dłońmi rozpina mu pasek i zamek spodni,

a następnie doi go zazdrośnie i ostrożnie, swoimi pięknymi palcami o kolorowych paznokciach owija jego penis od korzeni aż po czubek, delectuje się własną czułością i entuzjazmem, podczas gdy Franco zaciska zęby i porusza biodrami w nieustających spazmach, które kończą się wytryskiem na uśmiechniętą twarz kobiety, na jej półotwarte karminowe usta. I tak całymi godzinami, fantazja za fantazją – zaskakiwał ją nagą w basenie albo ze związanymi nogami i rękami na podłodze w kuchni, albo wychodzącą spod prysznic, z mokrą cipką, sterczącymi cyckami – wreszcie pieczenie w cewce moczowej nie pozwalało mu kontynuować masturbacji i Franco zasypiał, jego ciało w jednej chwili się rozluźniało, przynajmniej do rana, bo gdy tylko otwierał oczy, biegł do okna, żeby zobaczyć, jak sąsiadka wychodzi z domu w sportowym ubraniu, wsiada do SUV-a, żeby zawieźć dzieci do szkoły, tych dwóch ulizanych chłopaczków w mundurkach, z twarzami, na których malowało się wyraźne niezadowolenie. A potem ona pojedzie do siłowni albo do salonu piękności, żeby robić rzeczy typowe dla kobiet, a grubas z radością obserwowałby je z bliska, gdyby tylko mógł jej towarzyszyć albo śledzić ją w swoim samochodzie, niczym szpieg na filmach.

Nie było jednak żadnych szans, żeby dziadkowie pozwolili mu wziąć samochód dla głupiej przejażdżki, chociaż wieprz miał już prawko; ojciec od małego uczył go

jeździć. Problem w tym, że byli wściekli za to, że wywalono go ze szkoły, tak bardzo wściekli, że zrezygnowali z wakacji we Włoszech, które babka organizowała od miesięcy, i mieli teraz w planach odwiedzenie tej okropnej akademii wojskowej w Puebli, która obiecywała, że w niecałe pół roku zrobi z grubasa karnego młodzieńca. Nie pozwalali mu też chodzić na imprezy i nie dawali ani grosza kieszonkowego, chociaż zawsze udawało mu się jakoś zdobyć trochę kasy, szperając w porzuconym portfelu dziadka albo plądrując aksamitny woreczek z biżuterią babki, która potem zrzucała winę na niezagrzewające miejsca w domu służące – żadna nie wytrzymała długo z powodu upierdliwego charakteru pani domu, która oskarżała je o nagłe zniknięcie drobnych klejnotów: złotych łańcuszków czy niegustownych kolczyków, będących podarunkami od jakiejś biednej krewniaczki. Babka nigdy ich nie nosiła, więc mijały miesiące, nim spostrzegła ich brak. Grubas potajemnie sprzedawał te klejnoty poniżej ich wartości w lombardzie w centrum handlowym, do którego czasami jeździł z dziadkami na śniadania. Szczerze mówiąc, były to kradzieże godne starego pierdoły, ale grubas chwalił się nimi, jakby chodziło o atak na bank, być może po to, żeby zrobić na Polu wrażenie i sprawić, by myślał, że Franco Andrade to niezły skurwiel, który jest zdolny do wszystkiego, kryminalista pierwszej klasy, przerażający

buntownik, który w dupie ma reguły społeczne i dobre zwyczaje. A tak naprawdę Polo myślał, że grubas to pierdolony boidupa, rozpieszczony kretyń, który nie potrafi nic innego poza pijaczeniem przez cały dzień i rozmyślaniami o tyłku sąsiadki, w dodatku wcale nie takiej cud-babki, jak myślał tamten, ale przecież Polo nigdy mu tego nie powiedział.

Nigdy nie rozmawiał z grubasem, gdy pili; nigdy nie ujawniał, co tak naprawdę myśli o nim i jego żalonych fantazjach na temat pani Maroño, przynajmniej na początku, podczas pierwszych pijaństw na pomoście, gdy wieprzek nieźle się napierdzielał i godzinami opowiadał, ze wszystkimi szczegółami i bez żdziebka wstydu, jakie to świństwa kłębią mu się w głowie – o filmach porno, jakie ogląda, albo o tym, ile razy dziennie się masturbuje, albo co zamierza zrobić pani Marián, gdy wreszcie położy na niej swoje łapska, a zrobi jej wszystko, i te fajne rzeczy, i te nefajne. Polo jedynie kiwał głową i śmiał się z niego w duchu; niepostrzeżenie wypijał trzy czwarte butelki rumu, którą sponsorował grubas, pozwalając wygadać się temu oblechowi, samemu nie otwierając przy tym ust, może tylko po to, żeby pociągnąć z plastikowej szklanki albo wydmuchać dym z papierosa nad głową, odstraszać komary, które krążyły nad nimi w zdumiewających ilościach. Od czasu do czasu przytakiwał grubasowi, żeby sprawić wrażenie, że

rzeczywiście go słucha, a nawet go rozumie, ale tak naprawdę był tam jedynie z powodu swojego żebraczego interesu, co nie? Dla butelki bacacho, zgrzewki zapoconych piw i dla papierosów, a przede wszystkim, żeby nie wracać na trzeźwo do domu, gdzie musiał spotkać się z matką i tą dziwką, swoją kuzynką, jeśli akurat jeszcze nie położyły się spać.

Dlatego to wszystko robił, dlatego opóźniał wyjście, wysłuchując dowcipasów strażników, zamiast wziąć dupę w troki i ruszyć w stronę Progreso. Grubas ukrywał kasę między iksorami, które otaczały frontowy ogródek rodziny Andrade, i dawał Polowi znak z okna swojego pokoju. Czasami między krzewami Polo znajdował banknoty, czasami tylko parę monet. Wszystko jedno, bo i tak wystarczało. Jechał rowerem do okolicznego sklepu i wracał z czymś, czym mogli się nieźle napruć: flaszeczką i napojami oraz jednorazowymi kubkami, gdy kasy było więcej, albo puszkami piwa i papierosami bez filtra z promocji, albo ze zwykłą wodą z trzciny cukrowej i kartonem soku pomarańczowego, gdy zdobycz grubasa nie pozwalała na nic więcej. Osobiście Polo najbardziej cenił biały rum z colą, ale gdy tylko przyszał się do tego, co akurat mieli, jakoś trunku stawała mu się obojętna, wystarczał mu szum w głowie i przyjemne odrętwienie w ciele. Wtedy durnoty, którymi rzygał grubas, przestawały się liczyć, podobnie

jak duszący upał panujący w otaczającym ich lesie namorzynowym czy zmasowany atak owadów, a nawet niepokojąca bliskość wielkiego domiszcza, które mruzczało coś za ich plecami. To była sterta cegieł schowana za krzakami na zapuszczonej działce, przez którą Polo musiał przejść w drodze na pomost – jedyna droga, którą mógł wrócić na teren osiedla po tym, jak odbił kartę na koniec pracy. Zwykle udawało mu się przekonać kasjerów, żeby sprzedali mu alkohol bez dokumentu potwierdzającego pełnoletność czy choćby prawa jazdy – Polo był wysoki, jego twarz nie skłaniała do pogaduszek i wyglądał na więcej lat, niż rzeczywiście miał. Natomiast wyzwaniem był powrót ze zdobyczą tak, żeby nie dostrzegli go strażnicy i nie zarejestrowały kamery, dlatego skracał sobie drogę przez trzciny i pnącza pokrywające przylegający do osiedla teren, dochodził na brzeg rzeki, gdzie po gęstych gałęziach krzywo rosnącego figowca schodził na pomost bez zamoczenia butów. Aby dotrzeć do drzewa, musiał niestety przejść obok domiszcza Hrabiny, tych dwóch pięter zawilgotniałych ruin, o których w okolicy opowiadało się niepokojące historie, gdy tylko słońce zaczęło znikać za linią palm po drugiej stronie rzeki, sprawiając, że cienie się wydłużały, a powietrze wypełniało dziwnymi szeptami i nerwowymi krzykami ptaków ogłaszających swój odlot. O tej właśnie porze Polo musiał przejść obok wybitych okien domu,

popychając kierownicę roweru z zawieszoną na niej plastikową siatką, w której z brzękiem kołysały się trunki. Wzrok wbijał w dywan suchych liści szeleszczący pod jego stopami, żeby tylko nie musieć patrzeć na fasadę budynku. Wiedział już, że przez ramy okienne nie wyłoni się żaden duch, żadna upiorna ręka nie będzie go przywoływać, wiedział, że ten tajemniczy hałas przypominający cmokanie był dziełem gekonów, które mieszkają między wilgotnymi kamieniami, a niepokojący szept przyprowadzający go o gęsią skórę – efektem bryzy, każdego popołudnia podnoszącej się znad rzeki i poruszającej owocami fasolowatych roślin rosnących w ruinach. Dobrze wiedział, że w tych walących się murach nie czai się żadne niebezpieczeństwo, żadna ukryta między zawilgotniałymi ścianami i pleniącymi się paprociami fosa z żarłocznymi krokodylami, ale nie był w stanie wyrzucić z głowy historii o Krwawej Hrabinie, które w dzieciństwie usłyszał od starych plotkar z Progreso. Tak naprawdę tylko myśl o tym, jak niepochlebnie by to wyglądało, powstrzymywała go przed rzuceniem roweru wraz z trunkami i ucieczką w przerażeniu z tego miejsca. Zbierał więc siły i odwagę, żeby kontynuować drogę, krok za krokiem. Docierał do figowca, nie oglądając się ani razu, a także nie zdradzając odczuwanego strachu, który sprawiał, że przygryzał wargi. Nie chciał, żeby ktośkolwiek go na tym przyłapał i zesrał się ze śmiechu

z powodu jego cykora. Dlatego też gdy tylko usiadł na pomoście, od razu sięgał po napitki: pieruńskie pragnienie przeważało nad strachem przed tym, że nakryje go któryś z mieszkańców osiedla albo ten kretyn Urquiza. Odkapslowywał piwo albo – jeszcze lepiej – pociągał porządny łyk z butelki, czując ciepłą, miękką niczym bawełna ulgę, która spowijała całe jego ciało i chroniła przed ostrymi krawędziami tego świata. Wyciągał papierosa ze świeżo otwartej paczki, zapalał go z oczami utkwionymi w leniwym nurcie Jamapy, w brązowych wodach, nad którymi od czasu do czasu przelatywały nietoperze. Wtedy wreszcie serce przestawało mu walić i Polo mógł odwrócić głowę, by rzucić krótkie spojrzenie na ruiny, częściowo pokryte puchowcami i dzikimi smaczliwkami, sprawdzić, czy wnęki okienne pozostają puste, czy nie wystaje z nich żadne krwawe oblicze. Wówczas pozwalał sobie na uśmiezek ulgi, pociągał kolejny łyk i wesoło spoglądał na powoli zapalające się światła Progreso po drugiej stronie rzeki. Cały niepokój związany z przejściem przez tamtą działkę, zmęczenie wyczerpanych mięśni, a nawet prześladowający go od śmierci dziadka brak szczęścia, wszystko to rozplywało się w powietrzu, gdy tylko Polo wydawał z siebie głębokie, porządne ziewnięcie. Opierał się o grubą gałąź figowca, zamykał oczy, wdychał nienachalny zapach irysów i popełniał mimowolnie ten sam cholerny błąd co

zawsze, gdy czuł się szczęśliwy, nieunikniony błąd: życzył sobie, żeby ta chwila spokoju w samotności trwała wiecznie. Ale oczywiście zawsze w końcu na pomoście pojawiał się ten pieprzony grubas, po zejściu drewnianymi schodami sapiący jak gruboskórne zwierzę, ze swoim głupkowskim uśmiechem sprzedawcy pasty do zębów przyklejonym do mordy i tymi samymi co zawsze świństwami, do chuja, z tym samym szeregiem durnot na temat tego, jak zamierza wypieprzyć tamtą babkę, po dobroci albo i nie, głęboko i bez śliny, i tak dalej, i tak dalej, te same pierdolone dziwactwa, które nie miały najmniejszego sensu, bo nie trzeba było być jasnowidzem, żeby się domyślić, że nigdy do niczego takiego nie dojdzie, że zupełnie śmieszna i niedorzeczna jest myśl, że dama o tak bujnym biuście zgodzi się podstawić tyłek takiemu głupiemu i obrzydliwemu chłopczkowi jak Franco Andrade. To nie zdarzy się nawet w jej najbardziej mokrych snach!, myślał sobie Polo i krztusił się papierosowym dymem, żeby ukryć śmiech, podczas gdy grubas nie przestawał uprawiać swojego mentalnego onanizmu. Polo wykorzystywał więc okazję, żeby błogo się najeść, bo im więcej bzdur wyrzucił z siebie grubas, tym mocniej Polo mógł się upić, tak było od początku, od pierwszego wspólnego pijaństwa, do którego doszło po urodzinach tego rozpuszczonego bachora Micky'ego. Odbywały się one pewnego czerwcowego wieczoru,

w dniu, w którym Polo miał już po uszy Paradajsu, jego mieszkańców, tego kretyna Urquizy, i z wielką chęcią posłałby to wszystko w diabły. Wtedy grubas poczęstował go whisky na pomoście, gdzie Polo uciekł, żeby na moment odpocząć od imprezy i wypalić wspaniałą znalezioną niedopałek – prawie całego papierosa, czystego, bez obrzydliwych śladów po szmince na filtrze. Przede wszystkim uciekł po to, żeby pani Marián nie kazała mu manewrować piniatą ku uciesze głupich bachorów. Musiał schronić się na chwilę przed tłumkiem, wypalić w samotności papierosa, bez pośpiechu. Gdy jednak z zapalonym już kiepem w ustach zeskoczył z ostatnich trzech schodków na pomost, w swojej ulubionej kryjówce natknął się na grubasa, prawie nagiego, ubranego jedynie w bardzo opięte kąpielówki, z bosymi stopami zawieszonymi nad wodą. Przez chwilę, przez parę wstydliwych sekund Polo myślał, że ten kolo szafa płacze, bo jego szerokie ramiona trzęsły się, a niebieskie oczy – gdy podniósł wzrok na Pola – wydawały się czerwone i wilgotne. Polo już miał się odwrócić, żeby zostawić gościa samego z jego pedalstwem, ale nagle odkrył, że tamten trzyma na kolanach butelkę, a na jego pyzatej twarzy wykwita wredny uśmiech. Chcesz?, spytał grubas cieniutkim głosikiem. Dam ci tyk, jak ty mi dasz papierosa, zaproponował, ale Polo nic na to nie odpowiedział, patrzył tylko na butelkę, na etykietkę, którą widział już

wcześniej na takiej samiusieńkiej butelce, na którą na-
depnął, gdy wsiadł do półciężarówki Milтона podczas
ich ostatniego spotkania, zanim Milton znów zniknął
z powodu tamtych. Najlepsza na całym pierdolonym
świecie, powiedział mu kuzyn, jego prawie brat, gdy
Poło sięgnął po butelkę, którą zresztą prawie rozbił,
wsiadając do samochodu. Czysta, czysta pyszność,
przystojniaku, podkreślił Milton: jego szefowie pili wy-
łącznie to i zamawiali całe skrzynki, które przyjeżdżały
z Anglii, to nie ma nic wspólnego z piwem i wodą z trzci-
ny cukrowej, jaką zwykli pijać na zapleczu sklepu pani
Pachy. W tym momencie Poło i tak z wielką chęcią wy-
piłby cokolwiek, co mu zaoferowano, zupełnie było mu
obojętne co, nawet łyknąłby nieco truci zny, złej sławy
gorzały, jaką jego dziadek pędził na bazie dziewięćdzie-
sięciosześcioprocentowego alkoholu i pulpy z owoców
byrsonimy zebranych na podwórku. Wypiłby cokolwiek,
po prostu od miesiąca nie miał w ustach ani kropli alko-
holu, bo wpadł na durny pomysł, żeby obiecać matce, że
już nigdy więcej się nie ubzdryngoli, a raczej to matka
wymogła na nim przysięgę, że do końca życia nie będzie
pił; i przez dwadzieścia siedem dni dzielnie opierał się
pokusom, głównie dlatego, że matka zabierała mu całą
pensję, a także dlatego, że Milton ciągle nie wracał. Na
pewno jego nowy rozkład dnia pilnego pracownika i oso-
by odpowiedzialnej nie pozwalał mu już zaglądać do

Pachy na zaplecze, gdzie zawsze mógł wyżebrać parę łyków piwa, nawet jeśli nie miał kasy. Tak naprawdę każdego dnia Polo myślał o tym, że chciałby się napierdolić, mimo złożonej matce obietnicy, a tamtego wieczoru na początku czerwca, podczas przyjęcia tego kretyna Micky'ego Maroño, jego cierpliwość się skończyła i ciągle myślał, jak by to było, gdyby wreszcie posłał to wszystko w diabły, tego samego dnia złożył wypowiedzenie w swojej beznadziejnej, słabo płatnej robocie, a przy okazji rozbił ryj temu kretynowi Urquizie, dał mu parę razy po durnej mordzie: zobaczmy, kto ci będzie teraz mył wóz, pierdolony pedziu, zobaczmy, kto będzie na tyle głupi, żeby posprzątać ten bajzel, nie mając z tego ani peso za nadgodziny. Co za pieprzona niesprawiedliwość, tak to było, czekać całymi godzinami, aż cholerni mieszkańcy i ich goście-egoiści wreszcie spierdolą i dopiero wtedy zabrać się za sprzątanie pozostawionego przez nich syfu: puszek po piwie, poplamionych serwetek, kartonowych talerzyków z resztkami żarcia i przydeptanych niedopałków, pływających nawet w kobaltowym błękicie podświetlonego basenu. Czy nie mogli wyrzucić śmieci do kubłów rozstawionych na całym tarasie, gdy tylko skończą imprezować? Nic by ich to nie kosztowało, naprawdę, ale dlaczego mieliby zawracać sobie tym dupę, skoro od tego był Polo, ich wierny chłopak, czekający w ciemnościach z wielkim workiem na śmieci w ręku,

znudzony jak ostryga, z cieknącą śliną z powodu ostrego zapachu grillowanego mięsa i wyobrażający sobie aluminiowe puszki pełne lodu i piwa, czekający, aż stąd spierdolą, żeby móc posprzątać ich chlew. Ten kretyn Urquiza postawił sprawę jasno już pierwszego dnia Pola w tej gównianej robocie: ogrodnik jest odpowiedzialny za basen, ma go czyścić z liści, owadów i wszelkiego rodzaju śmieci, a taras należy każdego ranka zamiatać, zebrać z niego odpadki i poustawiać krzesła oraz stoliki tam, gdzie stały, tak żeby mieszkańcy, którzy wstają wcześniej – wśród nich staroświeccy i drażliwi dziadkowie grubasa – mogli zamoczyć swoje blade ciała w chłodnej porannej wodzie, chociaż oznaczało to, że Polo musiał w weekendy zostawać w pracy do jedenastej albo dwunastej w nocy czy do momentu, w którym rozweseleni uczestnicy imprezy dostawali wreszcie owsików i sobie szli. Te dodatkowe obowiązki doprowadzały Pola do szewskiej pasji, bo chociaż zazwyczaj szukał pretekstu, żeby wrócić późno do domu, najbardziej wkurwiała go nonszalancja, z jaką Urquiza łamał zapisy umowy o pracę, którą Polo podpisał kilka tygodni wcześniej z firmą Zarządzanie Nieruchomościami w Zatoce S.A. Dokładnie wymieniono w niej jego obowiązki na stanowisku ogrodnika i wyznaczono godziny pracy od siódmej rano do szóstej po południu z wolną godziną na obiad, a także zapisano, że jakiegokolwiek prace dodatkowe powinny być

odpowiednio wynagrodzone zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa. Tyle że oczywiście ten dupek Urquiza bezczelnie go dymał, nie przestrzegając tej klauzuli, aby zaoszczędzić firmie kilka peso albo nawet samemu je zagarnąć, jak ostrzegli Pola strażnicy, którym często wywi-jał ten sam numer. Cenobio mówił, żeby lepiej się pilnował, by nie stracić roboty, i Polo zaciskał zęby, choć to oznaczało, że całymi dniami musiał podlewać i kosić trawnik, przycinać gałęzie drzew i krzewów w parku, dbać o kwietniki i rabaty, zamiatać suche liście na czterech brukowanych ulicach osiedla, utwardzać piasek, który gromadził się w wietrzne dni, czyścić i malować latarnie wyżerane przez sól, zabijać wszelkie szkodniki, które ośmieliły się kopać w ogrodach, sprzątać psie kupy, których impertynency mieszkańcy nie byli w stanie sami zebrać niepokalanyymi rączkami, gdy wyprowadzali swoje pupile na spacer. Poza tym Polo miał utrzymywać w idealnym stanie taras i basen, a także – na myśl o czym zalewała go krew – codziennie myć samochód tego leniwego skurwysyna Urquiza, a to tylko dlatego, że facet go do tego zmuszał i jeszcze wymagał, żeby czerwony golf lśnił, jakby właśnie wyjechał z salonu. Ale niech ci to nie zajmie za dużo czasu, dobra?, mawiał ten kretyń. Umyj go, kiedy będziesz miał chwilunię, nie ma pośpiechu, co nie?, powtarzał z szerokim uśmiechem ten idiota i rzucał mu kluczyki, żeby Polo mógł odkurzyć

również wewnątrz. Ależ miał ochotę walnąć go tymi kluczami w mordę i powiedzieć mu: „Sam sobie go umyj, skurwielu”, a potem wyciągnąć maczetę, którą nosił przy pasku, i jednym ruchem odrąbać mu ten dumny łeb! Polo nie lubił przemocy, nie miewał ataków furii, każdy, kto go zna, to potwierdzi, przyzna, że Polo to dość spokojny koleś, chłopak, który z nikim się nie kłóci i nie wtrąca w nie swoje sprawy, za to Urquiza to szczywany lis, który myśli, że może robić, co mu się podoba z czasem Pola, tylko dlatego, że uważa chłopaka za gówniarza z zadupia, bez szkoły czy jakiegokolwiek doświadczenia. W dodatku zachowuje się, jakby dając mu tę robotę, wyświadczał mu nie wiadomo jaką przysługę. Polo jednak nie pozwalał się zrobić, dobrze wiedział, że to podła niesprawiedliwość. Nie chodziło o to, co myślał, ani o wymówki, nie chodziło o to, żeby się polenić, nie chodziło też o jego kłótniwość czy skłonność do wyskoków, jak powtarzała matka, ilekroć słyszała jego narzekania na robotę, a czasami nawet zaczynała gderać, gdy Polo zwykle westchnął sobie w kuchni nad szklanką wody z dwoma alka-seltzerami – śniadanie mistrzów, które dawało mu odwagę, by rozpocząć kolejny dzień ciężkiej pracy w pełnym słońcu, kolejny dzień nowego życia jako pracownik firmy Zarządzanie Nieruchomościami w Zatoce S.A., w której jego własna matka również od szesnastu lat pracowała – najpierw jako służąca w domu

inżyniera, potem wyrobница w biurach firmy i wreszcie, po niekończącej się serii wieczorowych kursów w centrum Boki, jako pomocnica księgowego. Za to ci płacą, powtarzała swoje kazania matka. Masz robić, co ci zlecają, i trzymać język za zębami, co cię obchodzi, że to robota durnego, po to cię wzięli: masz słuchać, a nie narzekać. Ledwo zacząłeś i już chcesz być szefem, przecież na niczym się nie znasz. Takiś męski, takiś chojrak? Żeby włożyć się po bibkach, to jesteś dorosły, ale do roboty to się nie kwapisz, śmierdzący próżniaku, powinieneś się wstydzić. W życiu trzeba się narobić, żeby zarobić, kretynie, dostaje się coś za pracę i wysiłek, nie można rezygnować przy pierwszej niedogodności. Czy to moja wina, że wywalili cię ze szkoły? Powiedz mi, czy to ja cię zmusiłam do wagarowania i zawalania sprawdzianów, żeby pokazać, co z ciebie za chojrak? Mogłeś się uczyć, to więcej, niż miałam ja czy twój biedny dziadek, niech spoczywa w pokoju, i spieprzyłeś to, idioto, spieprzyłeś z durnoty i próżniactwa, więc teraz musisz się pogimnastykować. Zawsze to samo, ciągle ta sama słowna sraczka, którą matka raczyła go każdego poranka, niezależnie od tego, czy narzekał, czy nie, w każdej chwili, gdy tylko wyczuła w powietrzu ślad żalostnej rezygnacji, z jaką Polo żegnał się ze śniadaniem, myśląc, że zaraz musi popedałować do Paradajsu.

Tamtej soboty był o krok od rzucenia wszystkiego w diabły, nie tylko dlatego, że musiał pozostać na

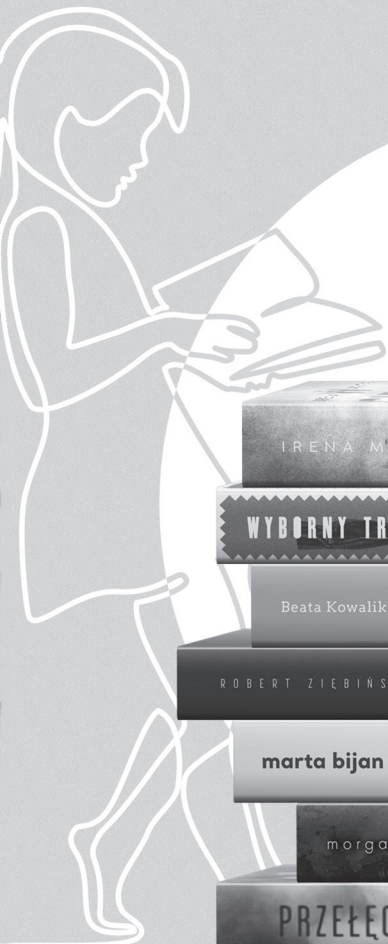
osiedlu do końca imprezy gówniarza, żeby sprzątnąć syf, ale również z powodu innej rzeczy, która przydarzyła mu się tego samego dnia, kilka godzin przed rozpoczęciem świętowania, gdy za pomocą siatki zbierał z powierzchni basenu suche liście i myślał o niebieskich migdałach, a tymczasem grupa pracowników firmy eventowej krążyła po ogrodzie, rozstawiając stoły, krzesła i namioty, a także wielki kolorowy brezent, który po nadmuchaniu stał się ogromnym zamkiem do skakania, z wieżami, blankami, flagami i zjeżdżalniami; miał nawet zwodzony most – masywna, lecz zarazem eteryczna i niepewna struktura unosząca się w powietrzu, jakby chciała uciec, za każdym razem, gdy od strony rzeki nadciągał podmuch wiatru. Polo był tak zaabsorbowany wysiłkami pracowników przy mocowaniu zamku za pomocą palików i lin, że nie zauważył nadejścia pani Marián aż do chwili, w której poczuł zapach jej perfum. Wtedy odwrócił się i prawie się z nią zderzył, ciało kobiety znalazło się kilka centymetrów od jego ciała, jej twarz była rozogniona i niczym nieosłonięta, pomalowane na krwawy kolor usta przywodziły na myśl wampirzycę, a nieodłączne ciemne okulary zwisały na złotym łańcuszku między jej piersiami. Ubrana była w dżinsowy strój i trzymała coś w rękach – niewielką żółtą kopertę, którą wręczyła Polowi bez słowa. Na jej twarzy pojawił się tylko nieprzyzwoity uśmiech, gdy zobaczyła,

że chłopak nie może wziąć koperty, ponieważ w obu rękach trzyma siatkę. W końcu sama włożyła mu ją do kieszeni na piersi kombinezonu, z durnym uśmiechem mamrocząc fałszywie, że to „za dodatkowy trud”. A potem odwróciła się i rozkołysanym krokiem skierowała się w stronę nowej służącej, dziewczyniny o aparycji chudego szczura, która właśnie nieudolnie nakładała pokrowce na krzesła dla gości. Polo pomyślał, że zna skądś tę dziewczynę, może ze szkoły, ale nie odważył się za bardzo jej się przypatrywać, żeby jej pani nie uznała, że gapi się na nią. Wrócił więc do swojej roboty i jak gdyby nigdy nic z udawanym spokojem zajął się czyszczeniem basenu, powstrzymując cholerne korcienie, żeby włożyć rękę do kieszeni i dotknąć koperty, próbując zgadnąć, co jest w środku. Dopiero gdy nadeszła pora obiadowa, mógł wreszcie zamknąć się w maleńkiej toalecie budki strażniczej, wyjąć kopertę i przeczytać na niej swoje imię – wypisane atramentem w kolorze fioletowym, ozdobionym brokatem – i przyjrzeć się dwóm dwusetkom, szeleszczącym i gładkim, jakby właśnie wyszły z bankomatu: dodatkowa zapłata wraz z napiwkiem, której odmawiał mu ten kretyn Urquiza, przeklęty kanciarz, przez co Polo ciskał gromy między zębami za każdym razem, gdy musiał zostawać do późna, żeby sprzątać syf pozostawiony po imprezach. To była wielka ulga, nie liczył na te pieniądze i w dodatku nie musiał

spowiadać się z nich matce. Mógł całą kwotę wydać, na co przyjdzie mu pieprzona ochota: papierosy, oczywiście, ze dwie butelki rumu, a może nawet zostałyby mu coś, żeby doładować telefon i wysłać Miltonowi wiadomość, żeby się do niego odezwał. Ale gdy snuł plany, podniecony tym, co może zrobić z tą dodatkową kasą, nagle poczuł w piersi głuchy ból i kilka chwil później pochylał się już nad sedesem, zwracając żółć, która uderzała go w gardło niczym konwulsyjny kaszel. Przypomnił sobie wyraz twarzy tej durnej baby, gdy wkładała mu kopertę do kieszeni, jej uśmiech, który Polo jak pierwszy lepszy wioskowy głupek poczuł się w obowiązku bezmyślnie odwzajemnić – nie był w stanie zapobiec temu, że mięśnie jego twarzy się wykrzywiły, chociaż nienawidził pozowania tej dziwki na wielką panią i bezczelności, z jaką go dotykała. Tysiąc razy łatwiej było mu wytrwać w postanowieniu, że nie będzie patrzył na jej tyłek, gdy w krótkich spodenkach wychodziła pobiegać po uliczkach osiedla, niż nie odwzajemnić uśmiechu – taka była magnetyczna, taka czarusia. Natychmiast byśmy się z nim zgodzili, gdybyśmy ją osobiście poznali i na własnej skórze przekonali się o jej umiejętności zmieniania ludzi w poddanych. Dlaczego, do kurwy nędzy, od razu nie oddał jej koperty, dlaczego nie odpowiedział z całą pogardą, do jakiej był zdolny: „Nie potrzebuję waszej jałmużny, dziękuję bardzo”?



HISTORIE WARTE OPOWIEDZENIA



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



www.mova.com.pl



[wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[wydawnictwomova](https://www.instagram.com/wydawnictwomova)



Zajrzyj i bądź na bieżąco!